ROK 1. CENA 30 GR

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 14. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 12 maja 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Dr. CECYLJA BAŃKOWSKA

O DOBRĄ SZKOŁĘ ZAWODOWĄ.

Praca ręczna do dziś dnia jest w powszechnej wzgardzie. Sądzimy, że uszczęśliwiamy dzieci nasze, zapewniając im wykształcenie choćby sześcioklasowe w szkole średniej. Unikamy szkoły zawodowej, uciekając się do niej w ostateczności, traktując ją jako zło konieczne. Przekonanie powyższe, tak bardzo ugruntowane wśród nas, od lat wielu, jest o tyle usprawiedliwione, że szkoły zawodowe nie uzyskały jeszcze ani prawa obywatelstwa na równi ze średniemi, ani należnego im uznania i podtrzymania w opinji społecznej. Uczniowie kończący szkołę zawodową, nie mają dostępu do uczelni wyższej, a kwalifikowany pracownik jest wypierany przez tańszego, niewykwalifikowanego. Stan ten musi jednakże z czasem ulec gruntownej zmianie. Projekt ustawy organizacji szkolnictwa Min. W. R. i O. P. zalicza szkoły zawodowe narówni ze średniemi do grupy trzeciej (po przedszkolach i szkołach powszechnych), co dawałoby rękojmię, że szkoła zawodowa u rządu przynajmniej znajdzie z czasem należyte poparcie, gdyby nie to, że liczne wciąż zakładane i utrzymywane t. zw. niższe szkoły zawodowe, odsuwają realizację przyszłej szkoły zawodowej równorzędnej ze średnią, ogólnąkształcącą, w mroczną dal. Na samo tedy społeczeństwo spada obowiązek zainteresowania się tem, ze wszech miar anormalnem zjawiskiem, zerwania z dotychczasową swą biernością, przyjmującą stan rzeczy jaki jest, bez protestu i tem samem opóźniając doniosłe reformy na tem polu.

Korzyści pracy ręcznej dla rozwoju umysłowego i duchowego ocenił już u nas w Polsce Ks. Jakób Falkowski, zakładając szkołę rzemiosł, bodaj pierwszą w Europie, przy instytucie głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie w r. 1817. Odtąd, pomimo oporu zaborców, powstają, aczkolwiek nieliczne szkoły i warsztaty rzemieślnicze, techniczne, rolnicze i t. p., zaś nazwiska Natansonów, Kuna i Szlenkierów złotemi zgłoskami zapisane są w dziejach szkolnictwa zawodowego, które przed wojną miało wszak tak małe szanse rozwoju. Rosja, obawiając się konkurencji z własnym przemysłem, niechętnem okiem patrzała na powstanie nawet szkół handlowych średnich. Prusy, o ile popierały szkołę zawodową, czyniły z niej narzędzie germanizacji. Najlepiej może rozwijało się szkolnictwo zawodowe, po latach 70-tych pod zaborem austryjackim, chociaż i tu pozostawiało wiele do życzenia.

W niepodległej Polsce fundusze na zakładanie szkół zawodowych wzrosły od r. 1925-go, kiedy to ustawa o podatku przemysłowym, zmusiła do opłaty pewnego procentu od patentów handlowych i przemysłowych na rzecz szkolnictwa zawodowego. Pozatem niezupełnie szczęśliwe z wielu względów hasło „samowystarczalności“ szkoły zawodowej, umożliwia jej bądź co bądź byt materjalny — krzywdę często wyrządzając dzieciom, zmuszanym do pracy terminowej, często nad siły i w czasie nawet pozaszkolnym, zwiększając tem samem pracę dzieci do 14-tu i więcej godzin na dobę.

Znawca szkolnictwa zawodowego u nas, inż. Stanisław Kruszewski, wypowiadając wyraźnie (na Zjeździe Oświatowym w grudniu 1926 r. oraz na Zjeździe Instruktorów Szkół Zawodowych, w kwietniu 1927 r.) że: „Jednolity ustrój szkolnictwa daje każdej jednostce po ukończeniu szkoły powszechnej dostęp do szkoły średniej, bądź ogólnokształcącej, bądź zawodowej i dalej do szkoły wyższej“, walczy tem samem z istniejącą niższą szkołą zawodową będącą „ślepą ulicą bez wyjścia“.

Do szkół zawodowych zaliczamy szkoły: 1) agrotechniczne (rolnicze, ogrodnicze, leśne i t. p.) podlegające w znacznej części Ministerstwu Rolnictwa, 2) techniczne (budowlane, architektoniczne i t. p. różnych typów), których w r. 1927/28-ym mamy około 80-ciu, 3) rzemieślniczo-przemysłowe (tych liczymy około 100), 4) handlowe (różnego typu około 140) 5) techniczne typu zasadniczego, czyli kolejowe, miernicze, radjotechniczne, 6) szkoły majstrów i dozorców, 7) szkoły przemysłowo-artystyczne, 8) szkoły zawodowe żeńskie (krawieckie, gospodarcze, koronkarskie i t. p., 9) Wieczorowe, kilkuletnie kursy dokształcające dla młodzieży od lat 14 do 18, zatrudnionej przeważnie w fabrykach, 10) Kursy uzupełniające, względnie dokształcające krótkotrwałe (niekiedy parotygodniowe) których się mnoży tyle, że trudnoby je ująć ściśle liczbowo.

Obecnie szkół zawodowych różnych typów mamy z górą 3 tysiące, z 200 tysiącami uczniów i około 2½ tys. sił: nauczycielskich, instruktorskich oraz funkcjonarjuszy, obsługujących szkolnictwo zawodowe. Jeżeli zważymy, że przed wojną w trzech zaborach razem liczono około 120 szkół zawodwych, oraz około 200 kursów dokształcających, ze zdumieniem skonstatujemy wielki rozwój szkolnictwa zawodowego, a tem samem zwrot ku lepszemu, normalnemu stanowi rzeczy.

Powyższy rzut oka jest oczywiście bardzo pobieżny. (Obszerniej ujęłam poglądy swe na stan oraz po-

trzeby szkolnictwa zawodowego w Nr. 3 „Ogniwa“ z marca 1928 r., gdzie w przytaczanych cyfrach opierałam się na „Roczniku Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej“ oraz na „Preliminarzu budżetowym“ dokąd odsyłam każdego, ktoby chciał bardziej wyczerpujących danych).

Być może, niedaleką jest chwila wyzwolenia dziecka. Być może, gorące pragnienie wyrażane po tylekroć przez filozofów i pedagogów, nakazujące poszanowanie indywidualności dziecka (Emerson, Parhurst, Korczak i in.) skłoni i reformatorów naszej szkoły do uwzględnienia w całej pełni prawa dziecka do radosnego i pełnego życia, zarówno w szkole ogólnokształcącej jak i zawodowej.

Zanim to nastąpi, winien wyłonić się ze społeczeństwa naszego nowy typ nauczyciela — wychowawcy, przed którym dążenia i potrzeby dziecka staną jako jedyny najwyższy cel jego powołania!

SPART-KORJATOWICZ

SZKOLNA KASA OSZCZĘDNOŚCI.

Przy szkole powszechnej Nr. 43 na Powiślu od czterech lat jest czynna Szkolna Kasa Oszczędności. Ma ona przed sobą wytknięte dwa cele: przedewszystkiem *cel pedagogiczny*, czyli stałe systematyczne wychowywanie młodzieży w duchu oszczędności, pozatem *cel praktyczny*, czyli konkretne oszczędzanie.

Z pożytku Szkolnego Kas oszczędności każdy z wychowawców zdaje sobie sprawę, to też nie jest moim zamiarem przekonywać o tem kogokolwiek, natomiast pragnę w kilku słowach przedstawić działalność Kasy oszczędności przy szkole Nr. 43 i owoce tej działalności.

Usiłowania zorganizowania Kasy Oszczędności sięgają w naszej szkole lat conajmniej dziesięciu. Niestety, okres dewaluacji pieniądza był jednocześnie zabójczym argumentem przeciwko samej idei oszczędzania. Dopiero z chwilą stabilizacji złotego, a jeszcze więcej powstania Miejskiej Kasy oszczędności, możność oszczędzania zdobyła grunt trwalszy i od tej chwili dopiero datuje się faktyczna praca oszczędnościowa.

Akcję propagandową rok rocznie rozpoczynamy od zorganizowania na początku roku szkolnego uroczystego „Dnia oszczędności“, podczas którego, oprócz zwykłych ram nastrojowych, jak występy chóru i orkiestry szkolnej, deklamacje i t. p. wygłaszane są odpowiednio do wieku i rozwoju umysłowego okolicznościowe pogadanki. Po takiem przeoraniu gleby rozdawane są uczniom kartki do nalepiania mareczek oszczędnościowych. I odtąd przez cały rok idzie żmudna ale wytrwała praca nad ciągłem pobudzaniem do oszczędności. Również i rodzice na zebraniach są uświadamiani o pożytku wychowawczym akcji oszczędnościowej i wciągani do współpracy.

Sama organizacja Kasy Oszczędności w naszej szkole przedstawia się w ten sposób, że jeden z nauczycieli, delegowany przez Radę Pedagogiczną, został kierownikiem Kasy i on jest faktycznie duszą całej sprawy. Otworzono konto w Miejskiej Kasie Oszczędności, która wydaje szkole w komis znaczki oszczędnościowe po 5, 10, 20 i 50 groszy. Co pewien okres czasu pieniądze za sprzedane znaczki wraz z zapełnionemi kartkami przelewa się do M. K. O., która ze swej strony wydaje uczniom indywidualne książeczki. Dla wydobycia pieniędzy zaoszczędzonych z powrotem z Kasy potrzebne jest zezwolenie rodziców i kierownika szkoły. I trzeba przyznać, że zastrzeżenie to robi wiele dobrego, bo oducza lekkomyślności zarówno uczniów jak i rodziców. Były niestety wypadki, że



Kasa oszczędności przy szkole powsz. Nr. 43 w Warszawie.

pieniądze z trudem i umiłowaniem zaoszczędzone przez ucznia, chciała podjąć nprz. matka przed Bożem Narodzeniem czy Wielkanocą, ponieważ były jej potrzebne na „święta“. Oczywiście, rozmowa z kierownikiem sparaliżowała takie zamiary i pieniądze ocalały.

Akcja oszczędnościowa prowadzona w naszej szkole od r. szk. 1925/26 dotąd dała następujące wyniki:

w r. szk. 1925/6 zaoszczędzono ogółem 415 zł.
w r. szk. 1926/7 „ „ 230 zł.
w r. szk. 1927/8 „ „ 505 zł.
w r. szk. 1928/9 „ do 1.IV ogół. 1490 zł.

Najwięcej oszczędzają uczniowie klas niższych I i II i starszych VI, VII, najmniej klas średnich III, V. Między oszczędzającymi są uczniowie, którzy w ciągu lat kilku uskładali od 100 do 180 złotych, większość zaś uczniów ma w kasie po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt zł., nie licząc oczywiście początkujących, którzy zaczynają od sum groszowych.

Tak oto przedstawia się w ogólnych zarysach działalność na polu oszczędnościowym jednej z wielu szkół warszawskich, do których i nasza szkoła się zalicza.

I powoli z małych sumek gromadzą się w Miejskiej Kasie oszczędności spore kapitały. Na podstawie otrzymanych informacji ogólna suma zaoszczędzonych w M. K. O. pieniędzy przez szkoły powszechne i częściowo średnie w Warszawie wynosi na 1.IV r. b. 352409 zł. 48 gr. książeczek oszczędnościowych wydano 17861. Dotychczas około 75% szkół powszechnych w Warszawie ma w Miejskiej Kasie Oszczędności swoje konta. Nasuwa się mimowoli pytanie, czemu pozostałe 25% szkół powszechnych i zawodowych nie prowadzi żadnej akcji oszczędnościowej? Czyżby nie uznawano jej doniosłości wychowawczej? Przypuszczam, że inne względy odgrywają tu rolę.

Zachęcając dzieci do oszczędności, przyzwyczajamy je do jednej z tych cnót, jakich nam polakom brak.

JADWIGA BOROWICZOWA, Opiekunka Szkoły Grójeckiej II.

CO ROBIĆ?

Bratkowska płacze zrazu nad pobitem dzieckiem. Potem zaczyna przemyśliwać, czy nie dałoby się co jeszcze uratować z tych 15 złotych. Przecież nie mogła wydać takiej sumy za jeden dzień...

Ale gdy jej Kazia wręcza garsteczkę drobniaków, chwyta ją złość... Zabiera się czemprędzej do roboty, by się nie poddać złości. Ale, czy to można? Trzeba przecież zrobić rachunek: dług w sklepiku, kupić węgiel, na życie... Ani rusz nie wychodzi! Ach! ty jedna! to ja tu głowę sobie łamię, a ty będziesz po kinach się włóczyć, cukierki fundować?!

A nie wytrzymała, gdy poszła po wodę na podwórko.

Kogo spotka, każdy już wie. I wciąż o tem mówią.

„Zabiłabym takiego dzieciaka“ — mówi jedna — „bo co to z tego wyrośnie?“

„Wstydu się tylko człowiek doczeka i do więzienia na stare lata dostanie“.

„A bo to mało, moja pani, słychać, że niewinny człowiek przez takie dziecko do więzienia idzie?“

„Do więzienia“ — myśli Bratkowska — „jak prawdziwy złodziej!“

I nie wytrzymała dłużej. Wpada do mieszkania i dalej do Kazi. Już nie czuje żalu, tylko złość. I bije.

Bije ze złości, ze wstydu, ze strachu przed więzieniem. A Kazia nie staje się z tego bicia nic a nic lepsza i kradnie dalej.

Przyszła z nią Bratkowska do mnie i prosi:

„Do zakładuby ją oddać. W domu zabijemy chyba z tego bicia!“

I rozpina sukienkę.

Sino-zielone plamy pokrywają ramiona i plecy dziewczynki.

„Wczoraj znów wyjęła pani w szkole z torebki pięć złotych, a od tych 15 złotych, to już trzy razy kradła“ — płacze matka.

„Co robić? Czy ona to potrzebuje? U nas cukierków nie brak. Mąż jest furmanem i nosi całe worki cukierków do jednego sklepu. Zawsze tam trochę nadbierze dla dzieciaków. Bo to człowiekby im nieba przychylił, a to to tak się odwdzięcza“ — żali się wśród łez. — „Co robić? pani! Co robić?“

Tak! co robić, gdy matka przyznaje, że ojciec przynosi do domu kradzione cukierki, a dzieci to widzą?! Co robić? — gdy matka inną etykę ma dla dorosłych, a inną dla dzieci, a dziecko nie wie dlaczego, gdy ojciec to robi, to jest dobre, a gdy ono to samo robi, to jest złe!

Jak ratować Kazię?

Przedewszystkiem nie bić jej. Przecież widać, że to nie pomaga. Robi się nawet gorsza.

Potem zaczęła się wędrówka, długa i żmudna i bezskuteczna wędrówka po zakładach, przychodniach, sądach dla nieletnich.

Znów pytanie: „Co robić?“

Niechęć i powrót do dawnej metody: do bicia.

Wrcając z prania, wstąpiła znów raz Bratkowska do mnie.

W ręku miała zawiniątko, z którego wyglądały starte kawałki mydła, papierowe torebki i rondelek, z „legalnymi“ ostatkami obiadu czy kolacji.

Płakała: „Nic się nie zmieniło. Mąż pije gorzej i gorzej bije Kazię. Nic dziwnego, ma żal. Duża przecież i powinna zrozumieć. Człowiek tak ciężko pracuje! Albo i ja! Tak pracuję, tak oszczędzam! takie źdźiebko mydła i krochmalu i to do domu zabieram, by zaoszczędzić parę groszy, by dla dzieciaków było. I ona to widzi, widzi jak oszczędzam, jak się męczę, widzi jak tyla świat, a takie źdźiebko przyniosę, a ma sumienie tak martwić!“

Otóż to właśnie! To „źdźiebko mydła i źdźiebko krochmalu“, te cukierki nadbierane z wozów i pokryjomu przynoszone do domu, to wytworzyło atmosferę, która zatruła duszę Kazi.

Kazia w tej atmosferze rosła. Kazia te „paczuszki“ widziała, odkąd żyła. Widziała co robi ojciec i matka i robiła to samo.

Co znaczą słowa, morały i zakazy, wobec postępowania rodziców?

Kto wie, czy Kazia odbierając cięgi od ojca nie myśli: „A ojca to nikt nie wybije, bo duży.“

I Kazia napewno nie uważa, że robi źle, tylko niezgrabnie. Ją złapali, a ojca ani matki nie.

„Co robić? co robić?“ — łka matka, widząc, że postępki Kazi są tylko dalszym ciągiem jej postępowania. Może zuchwalszym, może bardziej ryzykownym — ale mającym to samo źródło.

I z tego trzeba sobie zdać sprawę.

I trzeba pamiętać, że musimy postępować w życiu tak, jakbyśmy chcieli, by dzieci nasze postępowały.

Bo dziecko jest odbiciem swego otoczenia od najmłodszych lat. Już w zabawach, w zachowaniu najmłodszych dzieci, można się dopatrzeć stosunków, jakie panują u nich w domu, zachowanie się rodziców względem siebie, względem dzieci, względem sąsiadów.

Dlatego na nic się zdadzą morały i nauki, gdy między słowami, a postępowaniem otoczenia będzie rozbieżność. Nie pomogę ani kary, ani bicie ani nawet wszelkie środki pedagogiczne:

Nie wyrośnie człowiek prawdomówny w atmosferze kłamstwa, ani uczciwy w atmosferze najdrobniejszych choćby nieuczciwości.

Atmosfera, w której dziecko rośnie, rozstrzyga, jaki zeń wyrośnie człowiek.

M. RZĄDKOWSKA, Instruktorka Koła Miłośników Ogrodnictwa

ZDOBIENIE OKIEN I BALKONOW.

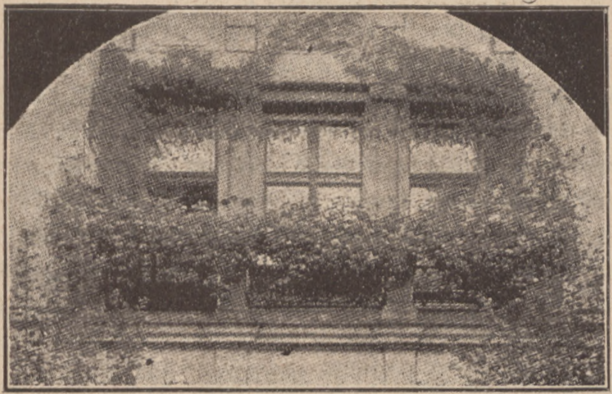
Mieszkańcy Warszawy mało dbają o zewnętrzny, estetyczny wygląd miasta. Prawie każdy dom ma balkony, ale na sto balkonów zaledwie jeden trafi się przybrany kwiatami. Długie monotonne szeregi szarych kamieni ciągną się w nieskończoność. Oko niema na czem spocząć. Jakaż radość sprawia trochę zieleni i kwiatów na balkonie!

Utarło się u nas mniemanie, że na zdobienie balkonów mogą sobie pozwolić tylko ludzie bogaci. Tymczasem tak nie jest. Można swe okna i balkony przyozdobić rozporządzając nawet niewielkiemi środkami.

Skrzynki robione specjalnie na balkony rzeczywiście drogą kosztują, ale można użyć skrzyneczek po gwoździach. Koszt takiej skrzynki wynosi 40 gr. Skrzyneczki te za pomocą drutu przytwierdza się do balustrady balkonu. Z oknami jest gorzej: jeżeli niema za oknem odpowiedniego urządzenia t. j. haków lub ramy, na której możnaby umieścić skrzynkę, to trzeba ją postawić na oknie od wewnątrz pokoju. W dnie skrzynek robi się duże dziurki, najdogodniej wypalić je gorącym pogrzebaczem, dziurki te nakryć skorupami z potłuczonej doniczki, a skrzyneczki wypełnić po brzegi ziemią. W taką skrzyneczkę wchodzi mniej więcej półtora garnca ziemi, której koszt wyniesie 60—75 gr.

Prawie w każdym domu znajdują się pelargonje, które hodowane z roku na rok, wyrastają w wysokie drzewka, ale coraz gorzej kwitną, a liście ich drobnieją. Jest to skutek starości. Pelargonje powinny być co rok odmładzane t. zn. na wiosnę należy odciąć ostrym nożem wszystkie młode pędy tak wierzchołkowe jak i boczne. Te młode pędy czyli sadzonki, często z niemiecka zwane flance (po niem. pflanzen—sadzić) mogą posłużyć do przybrania skrzynek. Sadzonki pelargonji przyjmują się nawet jeżeli zaraz po obcięciu zostaną wsadzone do skrzynki na balkonie, ale dłużej się zakorzeniają i później zaczynają kwitnąć. Lepiej więc skrzynkę z sadzonkami pelargonji potrzymać

2—3 tygodni w mieszkaniu, a dopiero, gdy się zakorzenią, wynieść skrzynkę na balkon. Jeszcze prędzej zakorzeniają się pelargonje w piasku, kto więc chce sobie zadać trochę więcej trudu, niech najpierw wypełni skrzyneczkę piaskiem, a po dwóch tygodniach, gdy sadzonki się zakorzenią, wyjmie młode rośliny, piasek zamieni na ziemię i do niej wsadzi pelargonje. Sadzonki pelargonji powinny mieć 8—10 cm. długości. Ciąć należy pod liściem lub oczkiem ostrym nożem. Zagłębić w ziemię na 2 cm., bo zasadzone głębiej łatwo gniją, i mocno obcisnąć, aby nie wypadły przy podlewaniu. Jeżeli sadzonka była odcięta pod liściem, to ten ostatni liść trzeba oberwać, aby ogonek jego nie gnił w ziemi, Sadzić gęsto, aby się stykały liśćmi, bo wtedy obficiej kwitną.



Takie same sadzonki można robić z begonji czyli ukośnicy i z fuksji czyli ułanki, tylko te sadzonki trzeba odcinać nad liściem, aby roślina mogła się rokrzewić.

Pelargonje doskonale udają się na balkonach południowych, wschodnich, a nawet zachodnich, chociaż na tych ostatnich gorzej kwitną. Begonje dobrze rosną na balkonach wschodnich i zachodnich, a ułanki nawet na północnych, zupełnie pozbawionych słońca.

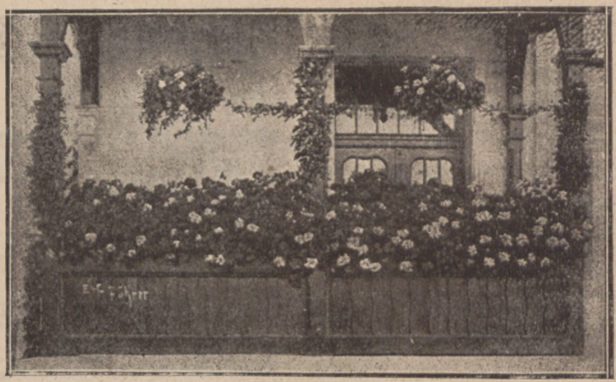
W braku roślin, któreby można sadzonkować, trzeba przybierać skrzynki roślinami wyhodowanemi z nasion.

Przy wysiewaniu nasion należy pamiętać, że czem drobniejsze nasienie, tem płyciej powinno być siane. Teorja głosi, że nasienie powinno być przykryte 3 razy grubszą warstwą ziemi, niż jest grubość nasienia. A więc nasiona większe, jak fasola bukietowa lub nasturcja, będą siane w dołki zrobione palcem w ziemi, inne drobne, jak np. petunja, muszą być rozsiane na powierzchni ziemi i tylko lekko palcami przygniecione. Aby nasiona prędzej skiełkowały, lepiej skrzynkę zatrzymać w mieszkaniu, nie wynosząc odrazu na balkon. Nasionom do skiełkowania potrzebna jest wilgoć i ciepło, światło nie jest konieczne. Można je więc postawić przy kuchni, ale wówczas należy bardzo uważać, aby ziemia nie zaschła, wskutek czego uschłyby kiełki i nasiona zmarnowałyby się, bo każde nasienie może wypuścić tylko jeden kiełek, gdy ten zaschnie — nasionko umiera, drugiego kiełka nigdy nie wypuści. Należy unikać zbyt gęstego siewu. Rośliny w skrzynkach powinny stać w odległości mniej więcej 10 cm. Lepiej jednak wysiać trochę gęściej i, jeżeli wszystkie nasiona skiełkują, część roślinek wyrwać, aby pozostałe miały więcej miejsca, światła i powietrza. Wysiane nasiona można polewać tylko przez sitko, bo ostry strumień wody z konewki lub butelki wypłucze je na wierzch. W braku sitka trzeba je zraszać albo nabrawszy wody w usta, wydmuchać ją na skrzyneczkę, albo maczać w wodzie miotełkę czy szczotkę ryżową i otrząsać nad skrzynką.

Na balkonach cienistych, do których słońce wcale nie dochodzi, można siać nagietki i nasturcje, a z roślin użytkowych szczaw, którego liście przez całe lato można zbierać na zupę.

Nagietki bardzo lubią przesadzanie; po przesadzeniu mocniej się zakorzeniają i obficiej kwitną. Więc gdy wypuszczą po cztery liście, można je ostrożnie wyjąć z ziemi, podważając od dołu, zrobić palcem głębszy dołek i wpuścić do niego roślinę aż po liście, uważając, aby korzonek nie zawinął się do góry, lecz spadał pionowo w dół.

Nasturcje nie lubią przesadzania. Bywają niskie, krzaczaste, wyrastające na 20—30 cm. wzwyż, i pnące dorastające do 4 m. Przy nabywaniu nasion należy zażądać odpowiedniego gatunku.



Balsaminy mogą być hodowane na oknach i balkonach południowych, wschodnich i zachodnich, choć na tych gorzej kwitną. Bardzo lubią przesadzanie, więc należy z niemi postąpić tak, jak mówiliśmy o nagietkach. Balsaminy lubią dużo przestrzeni, nie mogą więc rosnąć gęściej, jak w odległości 20 cm. jedna od drugiej. Zbyt gęsto wysiane gniją i żółkną. Do skrzynek nadają się odmiany karłowe wysokie na 20—30 cm.

Również dobrze rośnie na balkonach wschodnich i zachodnich powój, roślina pnąca. Przesadzać jej nie trzeba.

Na balkony południowe najlepsze będą aksamitki niskie. Lubią one przesadzanie. Z roślin pnących na balkony południowe można polecić groszek pachnący i fasolę bukietową. Obie te rośliny nie znoszą przesadzania. Gdyby wyliczać wszystkie rośliny, które będą rosły dobrze w pełnem słońcu, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Wyżej wymienione rośliny polecam dlatego, że kwitną one od czerwca do późnej jesieni. T. zw. porcja nasion, która wystarcza na obsianie 2—3 skrzyneczek kosztuje 25—30 gr. W ten sposób koszt przybrania balkonu, zależnie od ilości umieszczonych na nim skrzynek, będzie się wahał od 2 zł. (dwie skrzyneczki) do 15 zł. (10 skrzyneczek).

ZOFJA NAŁKOWSKA

DZIECI NA ŚWIECIE.

Paweł zachwycał się tem życiem w Japonji. W sierocińcu było ślicznie — biało, czyściutko, jasno, ciągle mu się wydawało, że to jest dom dla lalek. Bo i dzieci były trochę od naszych mniejsze i głosy miały jakby delikatniejsze. Uśmiechały się grzecznie i życzliwie, a nie bardzo wesoło. Nie można było z niemi rozmawiać, to prawda. Ale można było bawić się razem w różne gry, oglądać obrazki, robić wycieczki. I choć się ich mowy nie rozumiało, z wielu rzeczy widać było, że są dobre. Ze wszystkiego były zadowolone i nigdy nie okazywały gniewu ani zniecierpliwienia, chociaż napewno było im ciasno teraz i mniej wygodnie, gdy miały tylu gości.

Polskie dzieci miały tam w sierocińcu swoje lekcje, a dzieci japońskie wszystkie chodziły do swoich szkół.

Przed jedzeniem albo przed jakąś uroczystością robili tam dwie minuty milczenia. Dzieci japońskie siedziały na ziemi takie poważne i nic zupełnie nie mówiły. Aż póki nie minęły dwie minuty.

Jeżeli siedziały, to nie na krzesłach, tylko zawsze na ziemi. Ale podłogi wszędzie tam są zasłane plecionemi matami, więc było miękko. Gdy się szło spać, to się otwierało takie szafy w ścianie, każdy wyjmował swoją pościel i słał sobie na matach na ziemi. Wcale nie było zimno ani brudno, przeciwnie, zupełnie wygodnie. Bo tam nikt do pokoju nie wejdzie ze dworu w butach, tylko zdejmuje je i zostawia za drzwiami.

W ścianie też mieli swoje zamknięte ołtarze, nawet całe jakby kapliczki. To się otwierało — i wtedy odprawiali tam swoje nabożeństwo. A w czasie uroczystości wchodziły tam japońskie dzieci i grały różne sztuki jak w teatrze.

Jak przyjechali do Japonji, to była niby zima. Ale jeżeli nawet zrana spadł śnieg, to zaraz topniał— i po południu już było suchutko, już świeciło słońce i była ciepła pogoda.

Ale jak przyszła tutejsza wiosna, to dopiero było cudownie. Wszystkie drzewa kwitły. I wtedy było japońskie święto wiśni. Polskie dzieci też poszły do świątyni na ich nabożeństwo, a gdy szły po ulicy, to też każde miało w ręku gałąź wiśni kwitnącej.

Przez cały ten czas zwiedziły okolice, stolicy japońskiej, Tokio, jeździły na wycieczki, oglądały świątynie w Kobe, były w muzeach, gdzie z różnych czasów zebrane są japońskie obrazy, talerze i filiżanki z malowanej porcelany, figury z kości i duże rzeźby. Paweł po raz pierwszy w życiu widział tyle pięknych rzeczy. Był też w zwierzyńcu, gdzie przebywały zwierzęta ze wszystkich stron świata.

Raz zaprosiła polskie dzieci pewna japońska księżna, żeby przyjechały na wieś do jej pałacu. Była to malutka staruszka, która się wciąż uśmiechała. Dała im podwieczorek, a potem w dużej sali pałacowej było przedstawienie. Różne rzeczy tam pokazywali, ale najciekawszy był japoński sztukmistrz. Z małego pudełka wyciągał i wyciągał papierowe wstążki chyba na kilkaset metrów długości, a później wyjął z tego pudełka jeszcze całego żywego gołębia. To był oswojony gołąb, który potem koło niego fruwał i nie był ani zgnieciony, ani zmęczony, nic. To wszystko przecież nie mogło się zmieścić w tem pudełku, a jednak widocznie się zmieściło, jeżeli on to stamtąd wyjął. Albo też to była taka sztuka.

Na tym podwieczorku u japońskiej księżny Emilka była wesoła i doskonale się bawiła. I sztuka z gołębiem tak jej się podobała. A już na drugi dzień bolała ją bardzo głowa i nie mogła usiedzieć przy lekcji. Wieczorem zaś z dwojgiem jeszcze japońskich dzieci odwieziono ją do szpitala, bo dostała tyfusu.

Nastały smutne dni. Jeszcze z ośmioro dzieci zachorowało na tę samą chorobę i wszystkie zabrano. Paweł nie mógł sobie dać rady bez Emilki, bał się bardzo, ażeby nie umarła. I Julek też się bardzo martwił, chociaż mówiono, że dzieci są w tym szpitalu pod



Japońskie dzieci.



Wiśniowy gaj.

najlepszą opieką, że wszystko tam robią, aby je uratować. Najgorsze było, że takich chorych nie wolno odwiedzać , bo tyfus jest zaraźliwy

Tymczasem pobyt w Japonji właśnie się kończył. Komitet wystarał się już bowiem o miejsca dla dzieci na okręcie, który wyruszał do Ameryki. Taką to daleką drogą musiały dzieci wędrować do swej ojczyzny!

Przed samym wyjazdem wróciły ze szpitala te dzieci, które chorowały. Ale nie było między niemi Emilki!

One wyzdrowiały a ona była jeszcze chora. Więc bez niej wyruszyły dzieci w długą podróż przez Ocean Spokojny. Julek i Paweł poznawali życie morskie i postanowili, że będą marynarzami na polskim okręcie. Ale myśl, co się stało z Emilką, nie dawała im spokoju. Nie prędko jednak mieli się znowu zobaczyć.

d. c. n.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE

BIBLJOTECZKI RUCHOME W ST. ZJEDNOCZONYCH AM. PÓŁN.

Jeden z podróżników, po zwiedzeniu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej opowiada swoje wrażenia w sposób następujący. Dokąd rzucić okiem, wszędzie zauważymy śród hałasu, pogoni za groszem, poszanowanie dla książki. Od przepysznej bibljoteki miljonera do księgozbioru nauczycielki ludowej, ciężko okupionego pracą całych lat; od wspaniałych bibljotek poszczególnych stanów aż do niepokaźnej bibljoteki zdobiącej maleńką wioszczynę, od pracownika naukowego do robotnika, kupującego dziennik, od przechodnia do szwaczki, czytającej najnowszą powieść z kolei — wszędzie panuje nieustanne życie w dziedzinie drukowanego słowa. I ten kult dla książki nietylko nie upada, lecz przeciwnie — rośnie z dnia na dzień. Jednak pomimo tego zamiłowania do książki wiele z amerykańskich bibljotek, znajdujących się

na prowincji wykazywało małą żywotność. Składały się na to różne przyczyny, a przedewszystkiem brak wykwalifikowanych sił. żeby zaradzić złu i uzdrowić czytelnictwo szerszych mas, trzeba było zaprowadzić nowe metody, któreby usunęły istniejące braki. Tym człowiekiem, który potrafił dokonać potrzebnych zmian był pan Dewey; zaproponował on mianowicie

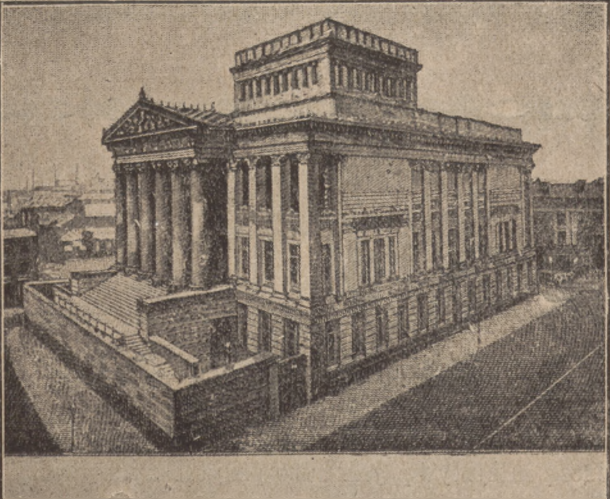


Fig. 2. Budynek bibljoteki powszechnej w m. Preston, w Anglji (111,000 mieszkańców).

powołać do życia bibljoteki ruchome, wniosek jego został przyjęty, wyznaczono na cel wspomniany odpowiednie fundusze, kupiono za nie pewną ilość kompletów, z których każdy zawierał po 100 książek i książki te rozesłano w różnych kierunkach stanu Nowego-Yorku na okres sześciomiesięczny. We wsiach do których przybywały bibljoteczki, umieszczono je w szkołach powszechnych, w ludowych uniwersytetach lub u ofiarnych obywateli. Dobro, które szerzyły bibljoteczki, było tak wielkie, a koszta stosunkowo tak małe, iż nowy ten ruch zyskał gorącą sympatję ogółu obywateli. Oczywiście, iż nie potrzebujemy zastanawiać się nad tem, jak dobroczynny wpływ na życie poszczególnych osób, rodzin i społeczności wywarło utorowanie sobie drogi do biednych odosobnionych siedzib robotniczych i chat chłopskich przez zdrową i zajmującą książkę. Bibljoteczki ruchome, przebywające tylko przez krótki czas na jednem miejscu, uczyły jednocześnie, jakie korzyści osiągnęłaby ludność przy istnieniu stałej bibljoteki. Co do kosztów, to w większości stanów korzystanie z bibljoteki jest bezpłatne, w innych opłata wynosi od ½ do 5 dolarów rocznie, koszta przesyłki książek płaci zazwyczaj wypożyczający. Trzeba zauważyć, iż w sprawie, czy korzystanie z bibljotek powinno być bezpłatne czy też nie — istnieje w Ameryce różnice zdań. Jeden z pionerów ruchu bibljotek ruchomych uważa, że nie należy dawać ludowi „coś za nic“, to znaczy duchowe jałmużny; lecz w praktyce nieraz się tak dzieje, iż są wsie, gdzie bibljoteczka taka bardzo by się przydała, a jednak nie są one w stanie dać z początku na nią ani grosza. Jeśli się więc nie jest skrępowanym ustawą, można tym ludziom pomóc. Różnie zapatrują się również kierownicy tego ruchu na to, czy zawartość bibljoteczek powinna być stałą, czy też podlegać zmianom stosownie do żądań czytelników. Większość stanów radzi sobie w ten sposób, iż obok stałych kompletów dołącza książki, o które proszą czytelnicy. Niektóre z tych bibljoteczek posiadają książki o charakterze bardziej specjalnym, lub też komplety dla dziatwy szkolnej; niekiedy dołączone bywają książki w językach cudzoziemskich, jeżeli ich żąda napływowa ludność, książki dla ślepych, pisane specjalnem, wypukłem pismem i t. d. Obok książek wypożyczane są też przezrocza, fotografje, reprodukcje obrazów wybitnych malarzy w celu urządzenia wystawy na miejscu. Zresztą amerykanie podkreślają, iż powodzenie akcji bibljotek ruchomych — jak w innych zresztą dziedzinach pracy — zależy przedewszystkiem od ludzi, ich energji, pomysłowości, umiejętnemu szerzeniu wiadomości o ruchu. Brak zdolnych kierowników powoduje iż praca bibljoteczek kuleje. Niewątpliwie do najtrudniejszych zadań kierowników należy dokonanie odpowiedniego doboru książek. Okazało się naprzykład, iż komplety, zawierające zbyt wiele poważnych dzieł naraz, zrażają przeciętnego czytelnika. Jak się przekonano z praktyki. Do kompletów nadają się dobre powieści, ilustrowane życiorysy wielkich ludzi, podróże, dzieła historyczne, trochę prac z historji sztuki, tomik poezji, łatwe książki przyrodnicze.



Fig. 3. Budynek bibljoteki w m. Easton, w Ameryce (1,452 mieszkańców).

Bibljotekarze amerykańscy proszą czytelników i przyjaciół o zwracanie im uwagi na nieodpowiednie książki; w takim razie dana książka poddana jest ponownie obradom, czy umieszczenie jej w bibljotece jest słuszne. Trudność wyboru polega na tem, że wogóle istnieje niewiele książek, które odpowiadają wymogom bibljoteczek, t. j. są dostępne, zajmujące, na-

pisane z wiedzą i talentem. Nic też dziwnego, iż amerykanie uznali z początku za odpowiednie tylko 2500 książek; obecnie, dzięki pracom różnych komisyj liczba ta znacznie wzrosła. Katalogów większość bibljoteczek amerykańskich nie posiada; najczęściej miejscowe pismo drukuje spis książek, zawartych w nadesłym komplecie. W wielu jednak stanach ludność rozrzucona jest na ogromnych obszarach i wobec tego niełatwo może tam dotrzeć wiadomości o istnieniu bibljoteczek; w takich wypadkach wysyła się inspektorów do najdalszych zakątków, gdzie zwołują oni zebrania informacyjne, pokazują komplety książek i nieraz pozostawiają je pod opieką miejscowych gospodarzy.

Pierwsze takie bibljoteczki utworzono w Ameryce dla urzędników kolejowych w r. 1809. Lecz dopiero p. Dewey nadał tej instytucji charakter społeczny.

Leon Rotensztejn

HELENA DEHNELOWA

KOLONJE LETNIE.

Zbliżają się radosne, wiosenne dnie... Następnie ciepłe, słoneczne lato. Łąki i lasy okryją się świeżą zielenią i będą tchnąć ożywczą wonią kwiatów i ziół... Skończy się nauka w szkołach. Tysiące bladych i wymizerowanych dzieci wylegnie z ciasnych dusznych i wilgotnych mieszkań... na brudne i cuchnące podwórka, na zakurzone, rozpalone od słońca ulice miasta!

Część tych bladych więźniów zimowych, mieszkająca na przedmieściach będzie mogła bawić się w kałużach, cuchnącego podmiejskiego błota, część szczęśliwsza, będzie używała „pół powietrza“ na półkolonjach, a najszczęśliwsi tylko pojadą na kolonje letnie! Jakaż znikoma część jest tych „najszczęśliwszych“ w stosunku do tysięcy, tysięcy dzieci robotniczych, nie mogących wyjechać na wieś, pomimo że rozpaczliwy stan ich zdrowia wymaga koniecznie świeżego powietrza i słońca!

Nie będzie przesadą jeśli powiem, że przy dzisiejszych ciężkich warunkach mieszkaniowych, każde, bez wyjątku, dziecko robotnicze powinno być wysłane na kolonje letnie. A wszak 80 proc. tych dzieci jest zagrożonych gruźlicą!

Nawet jeden krótki miesiąc pobytu na wsi, jeden miesiąc racjonalnego odżywienia, miesiąc swobody wśród łąk i lasów, robi cuda, przeistaczając te blade, anemiczne stworzenia w pełne radości życia dzieci. Cóż dopiero całe lato! Pomijając dobroczynny wpływ, jaki wywiera na zdrowie dziecka pobyt jego na odpowiednio urządzonej kolonji, ogromne znaczenie ma oderwanie się dziecka od często bardzo ciężkich warunków życia w domu, od zgiełku i zepsucia wielkiego miasta! Piękno przyrody wpływa kojąco na wrażliwą duszę, a życie wśród gromady uspołecznia młodego obywatela, odzwyczaja go często od kaprysów i narowów, nabytych w domu.

Natura dziecka, jego charakter i skłonności, najlepiej dają się obserwować na kolonji wśród rówieśników. Jakże często dzieci przejawiają tutaj szeroką twórczą inicjatywę, jak dużo pożytecznych rzeczy się uczą!

Często biedne „zahukane“ bite w domu i nieśmiałe dziecko, pod wpływem, otaczającej go pięknej przyrody i dobrego serca wychowawcy „rozkwita“, staje się małym „człowiekiem“ na kolonji jest pełnoprawnym obywatelem: ma pierwszy raz w życiu swoje „własne“ łóżko, swoją „własną“ bieliznę, swój „własny“ ręcznik — swoje własne miejsce na świecie! Takie dziecko często na kolonji dopiero uczy się jak się należy myć, jeść, spać — a potem, po powrocie do domu, uczy tego wszystkiego młodsze rodzeństwo i daje dobre rady nawet... rodzicom.

Dobre wpływy dobrej kolonji towarzyszą dziecku przez całe jego przyszłe życie!

Ale żeby osiągnąć cały swój dobroczynny wpływ, kolonje letnie powinny być „dobre“, to znaczy dobrze urządzone i prowadzone przez fachowych wychowawców, serdecznie kochających młodzież.

Pamiętajmy, że na kolonje nie posyłamy naszych dzieci, jak do szkoły, na kilka godzin pod opieką fachowego wychowawcy i nauczyciela — na kolonje oddajemy dzieci w całkowite władanie jej kierowników, często nie wiedząc nawet kto i jak kieruje naszem dzieckiem. W szkołach rodzice zaczynają tworzyć dziś silną armję pomocniczą, organizując „Opieki Szkolne“ i spiesząc z pomocą szkole w opiece nad dzieckiem. Ale kwestja kolonji letnich jest zaniedbana i mało kontrolowana. Kolonje letnie organizują obecnie samorządy i różne instytucje dobroczynne bez ogólnego planu i wzajemnego porozumiewania się. Sumy w budżetach na ten cel przeznaczone są znikomo małe w stosunku do potrzeb! Tysiące dzieci (robotniczych) ginie i marnieje w kurzu ulicznym!

Ojcowie! Matki! Pamiętajcie, że żądając opieki nad matką i dzieckiem, musicie żądać opieki nad całą rodziną, musicie energicznie pracować sami dla sprawy kolonji letnich i domagać się od władz rządzących i zarządów fabryk oprócz zakładania żłobków dla niemowląt, tworzenia gęstej sieci kolonji letnich dla dzieci starszych. Pamiętajcie, że chcąc stworzyć pokolenie zdrowych i silnych bojowników o lepsze jutro, musicie dążyć do tego, żeby dzieci wasze nie ginęły od chorób i wycieńczenia w dusznych murach miast, lecz żeby, z nastaniem ciepłych dni, miasta wyludniły się z dzieci, a rozległe pola i lasy polskie zaroiły się dziesiątkami tysięcy małych „człowieczków“!

ODEZWA.

Od lat 35-u „Kolonje Letnie im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania“ walczą za sprawę ubogiego miejskiego dziecka, starając się udostępnić mu latem pobyt na Kolonji leczniczej w Ciechocinku lub wypoczynkowej w Lesznie. Liczba tych dzieci z roku na rok wzrasta. Dziś już dochodzi do ilości — 2.000.

Wakacje na wsi — to radość, to zdrowie, to siły dla dziecka na cały rok, ale to nietylko źródło zdrowia fizycznego, ale i wrażeń estetycznych — to najmilszy temat wspomnień i opowiadań dziecięcych.

Te opowiadania warto zebrać i utrwalić. Dadzą one istotny obraz przeżyć dziecka na wakacjach. To też „Tow. Kolonji Letnich im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania“ przystępuje do wydania JEDNODNIÓWKI, składającej się z opowiadań dzieci na temat przeżyć wakacyjnych — np. Moje wspomnienia z wakacji, Najpiękniejszy dzień z ubiegłych wakacyj, Najweselszy dzień z ubiegłych wakacyj, Moi koledzy ze wsi, Jak bawiliśmy się na Kolonjach Letnich, Moje wspomnienia z Kolonji Letnich (dla dzieci, które przebywały na Kolonjach Letnich).

Jedniodniówka ma na względzie kilka celów:

1) Uczczenie 35-letniej działalności Kolonji Letnich im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania;

2) spopularyzowanie wśród społeczeństwa idei Kolonij Letnich;

3) rozpowszechnienie i zainteresowanie tą sprawą jak najszerszych rzesz dzieci;

4) zebranie ciekawego i istotnego materjału sprawozdawczego; żadna odezwa ani apel wychodzący od dorosłych nie spełni tu tej roli, co bezpośrednia relacja dzieci — widomy znak rezultatu zetknięcia się z przyrodą.

Niniejszem zwracamy się do nauczycielstwa polskiego z gorącą prośbą o przyjście nam z pomocą i poparcie naszych usiłowań.

Któż, jeśli nie nauczyciel, który z natury swego zawodu zbliżony jest do dziecka i posiada jego zaufanie, któż lepiej potrafi zachęcić je do szczerego opisania swych wspomnień.

A więc prosimy pp. nauczycieli o jak najrychlejsze nadsyłanie nam prac swych uczniów.

Czekamy!

Warunki konkursu są następujące:

1) W konkursie może uczstniczyć każde dziecko w wieku od 7 do 15 lat,

2) opowiadanie musi być napisane samodzielnie, bez pomocy starszych,

3) należy pisać czysto, starannie i czytelnie (można dodać ilustrację),

4) objętość opowiadania (rękopis) nie może przekraczać 2 stronic zeszytu,

5) na pierwszej stronie ponad tytułem należy wymienić imię, nazwisko, adres, względnie Nr. szkoły i klasę, do której uczestnik-czka uczęszcza:

6) zgłoszone prace muszą być nadesłane najpóźniej do dnia 15 maja r. b. pod adresem Komisji Dochodowej Tow. Kolonij Letnich im. H. Wawelberga— Chmielna 36.

Nadesłane prace będą rozpatrywane przez specjalny Komitet Konkursowy, w skład którego wchodzą przedstawiciele świata pedagogicznego i literackiego. Prace wyróżnione przez Komitet Konkursowy będą umieszczone w Jednodniówce, która w czerwcu r. b. po minimalnej cenie zostanie rozpowszechniona wśród młodzieży.

Jako *dwie pierwsze nagrody*, za najlepszą pracę Tow. Kolonij Letnich im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania ofiaruje *jeden bezpłatny pobyt na Kolonjach leczniczych w Ciechocinku i jeden — na Kolonjach odpoczynkowych w Lesznie.*

Druga, trzecia i czwarta nagroda — książki.

Wszelkich informacji udziela chętnie Biuro Komisji Dochodowej Towarzystwa Chmielna 36 m. 3, tel. 175-30, czynne od 11-ej do 2 pp.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

W Paryżu, na jednym z najpiękniejszych placów stanął pomnik Adama Mickiewicza.

Droga sercu każdego Polaka uroczystość odbyła się w Paryżu, w dniu 28 kwietnia b. r. W obecności Prezydenta Rzeczypospolitej Francji — p. Doumergue, a przedstawicieli rządów francuskiego i polskiego, tłumów kolonji polskiej i francuskich naszych przyjaciół — dokonał się uroczysty akt odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza.

Pomnik wykonany został przez świetnego rzeźbiarza francuskiego, Bourdelle'a. Przedstawia on naszego wieszcza narodowego w szacie pielgrzymiej, z kijem wiecznego wędrowca w ręce i z lewą ręką wzniesioną w górę, wskazującą jakgdyby drogę do Polski, do której tęsknił Mickiewicz, długie lata przebywając na wygnaniu.

Adam Mickiewicz — pierwsze serce w ojczyźnie — w szacie pielgrzyma stać będzie na placu d'Alma w Paryżu. Pielgrzymem był, na chwilę nieznającym spokoju od czasu, kiedy obca siła zmusiła go opuścić nad wszystko droższe „ojczyzny łono". Takim znał go Paryż przez długie lata, Paryż, który wieszczowi naszemu stał się miejscem pobytu i niestrudzonej działalności w imię Polski i dla Polski.

To też przedstawienie Mickiewicza na pomniku paryskim w postaci pielgrzyma, jest doskonałem zobrazowaniem rzeczywistości ostatnich lat jego życia.

Wstępnym aktem uroczystości, połączonych z odsłonieniem pomnika Mickiewicza, była akademja w języku francuskim, zorganizowane w wielkim amfiteatrze Sorbony. Na akademji tej przemawiali: Fr. Potocki, prof. Kallenbach, prof. Ujejski, prof. Kostanecki ,senator A. Strug oraz prof. Maurycy Croiset.

W niedzielę rano odbyła się msza w kościele polskim, którą celebrował ks. rektor Łagoda.

O godzinie 3-ej po południu nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika. Przemówienia wygłosili: Lewandowski, wiceprzewodniczący polsko-francuskiego stowarzyszenia, Levarchand, prezes rady miejskiej Paryża, Marraud, minister oświaty, oraz Chłapowski ambasador polski w Paryżu.

U stóp pomnika złożono dziesiątki wieńców.

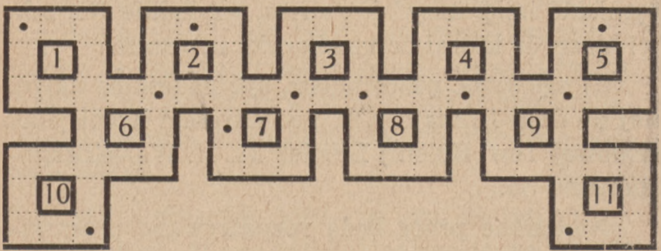
O godz. 5-ej pp. odbyła się jeszcze jedna akademja tym razem w języku polskim. Po szeregu przemówień nastąpiła część koncertowa. Na akademji bardzo licznie reprezentowana polonja paryska.

Wreszcie tegoż dnia wieczorem odbył się w ambasadzie polskiej obiad na cześć Prezydenta Doumergul'a. Na obiedzie obecna była rodzina Adama Mickiewicza mianowicie — w osobach jego wnuka i wnuczki.

Hołd, złożony przez Francję wielkiemu naszemu poecie, był zarazem aktem demonstracyjnym przyjaznych stosunków polsko-francuskich.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. WIRÓWKA ul. p. A. Chrzanowski.



W podaną figurę wpisać 11 ośmioliterowych wyrazów, czytanych w prawo.

Znaczenie wyrazów:

1. Poeta polski. 2. Morze na Syberji. 3. Rzeka w Ameryce. 4. Uczony. 5. Polski badacz okolic podbiegunowych. 6. Miejscowość kuracyjna w Czechosłowacji. 7. Polski mąż stanu. 8. Powieść Zarzyckiej. 9. Ryba brzuchopletwa. 10. Okrycie głowy. 11. Wyspa duńska na Bałtyku.

Nr. 2. LOGOGRYF LITERACKI
ul. p. Aleksy Janas

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	A	E	D	A	C	E	H	I	A	E	A	A	P	A	A	A
C	G	I	E	A	H	E	M	I	A	M	E	K	R	I	Ó	I
I	O	L	F	A	I	E	O	K	S	N	I	L	S	K	R	I
I	O	O	O	K	Ł	L	O	K	W	O	Ł	M	U	Ł	Ż	K
I	P	P	R	K	O	S	R	Ł		R	S	O		S		K
K	Ż	T	R	N	P	W	T	M		T	W	O		U		Ń
K				R				O		Y	W	R		W		R
R				T				S				S		Z		Ś
S				Y				W				Y				S

Litery w rzędach pionowych poprzestawiać tak, aby utworzyły 17 wyrazów o podanem znaczeniu. Wówczas puste kratki odpowiednio ustawione, oraz rząd piąty poziomy dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów.

1. Pierwsza litera imienia i nazwisko bajkopisarza polskiego. 2. Utwór Kossak-Szczuckiej (wspak). 3. Utwór Przybyszewskiego. 4. Komedjopisarz polski. 5. Nowela Prusa. 6. Utwór Reymonta. 7. Utwór Wyspiańskiego. 8. Utwór Pola. 9. Nazwisko T. T. Jeża 10. Pseudonim M. Konopnickiej. 11. Powieściopisarz polski 12. Utwór Brodzińskiego. Pseudonim poety polskiego. Pseudonim poety polskiego 14. Pseudonim A. Głowackiego. 15. Poeta polski. 16. Utwór Żeromskiego. 17. Poeta polski.

Za trafne rozwiązanie obydwóch zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe" przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47